DZIENNIK NARODOWY.

PRENUMERATA
Na rok . . . . fr. 15
Na miesięcy sześć . fr. 8
Na miesięcy trzy . fr. 4
Dziennik wychodzi co sobotę.

Nr 45.

DNIA 5 LUTEGO 1842 ROKU.

Wszelkie pisma i przesyłki pieniężne adressowane być mają *franco:* à la *Librairie Polonaise*, rue de l'Echaudé, N. 9.

POLITYKA.

SPRAWA POLSKA W ANGLII.

(Artykuł szósty).

ROZPRAWY PARLAMENTOWE. *

Z fizyonomią ciała prawodawczego w wolnym i potężnym narodzie, dzieje się to samo, co z obliczem i postawą pojedynczego wielkiego człowieka. Czytasz z uwielbieniem i przywiązujesz się do dzieł znakomitego poety; dajesz mu wymiary twych marzeń zbudzonych jego pieśnią; wystawiasz go sobie, jeźli nie olbrzymiéj postaci, to z zaiskrzoném okiem, z natchnioném słowem, z piętnem bóstwa na czole. Przypadek lub własne twe natręctwo sprowadza was razem, znajdujesz oschłego, milczącego ceremonianta; naprowadzasz tok rozmowy na literaturę, on ci narzeka na źle palące się drewka w kominie, lub odsyła cię jak Szyller owego z dalekich stron przybyłego Niemca: widziałeś mnie, terażże spiesz się byś powracającego dyliżansu nie chybił, i piérwszego nie stracił wrażenia. Nie mniejszy zawód czeka tego, który napoiwszy wyobraźnię szczytnemi dziejami parlamentu angielskiego, biorąc miarę z jego władzy, z jego wpływu na losy świata, wchodzi w jego progi z myślą, że zastanie zgromadzenie z obliczem, z powagą odpowiednią wielkości spraw jemu powierzonych. Jakżeż boto dla nas wspaniały, zrozumiały i powszedni, choć cudzoziemski, ten wyraz: *the House of Commons.* Ale przeszedł czas, kiedy brodaci senatorowie zasiadali na rzymskim rynku, i w milczeniu, spokojnie, czekali na śmierć niosącego Galla; a Hampdeny, Pitty i Burkowie nie codzień się rodzą. Pożar, w którym budynek parlamentowy w 1835 roku spłonął, zbliżył tymczasową izbę obrad do wymiarów wrażenia, jakie ta hałaśna i wrzaskliwa gromada, na piérwszy rzut oka, nieochybnie uczynić musi. Wewnętrzny też kształt téj izby nie różni się wiele od szopki wędrującéj u nas po Bożém Narodzeniu. Też same harce i dziwactwa obok najwznioślejszego przedmiotu. Dobrze, lubo trochę rubasznie, ktoś powiedział: roboty prowodawcze są podobne robotom kuchennym: żeby obiad dobrze smakował, nietrzeba patrzyć jak się jadło przyrządza. Członkowie w kapeluszach leżą i śpią po ławach; bliżsi marszałkowskiego krzesła zadzierają nogi na stół, na którym leży poważna buława, godło dostojności i swobód izby; młodsi i roztrzepańsi wrzeszczą, udają kogutów, miauczą jak marcowe koty, głos przeciwnika tłumią śmiechem i karczemnemi żartami. Skoro przyjdzie pora obiadowa, wszyscy wynoszą się hurmem na miasto, zostawując biednego krasomówcę, by wiódł daléj rzecz swoją do skoropisarzy i drzymiącego prezydenta. Za powrotem jeszcze gorzéj. Wino szumi po głowach, gniew i srogość wzrasta, twarze się chmurzą i zapowiadają pioruny, nogi drepczą z niecierpliwości do balowych posadzek, większa część chórem krzyczy o wotowanie, O'Connell olbrzymiemi wywija ramiony, młody trefniś z przeciwnéj ławy pięścią mu grozi, lub jak lord Stanley, szyderczym drażni uśmiechem, podobnym, wedle wyrażenia O'Connellowskiego, do błyszczącéj się blachy na trumnie kirem okrytéj. Taką jest izba niemal zawsze w ciągu najważniejszych nawet rozpraw. Taką nie była ile razy rzecz szła o Polskę. Ministrowie jeźli się opierali, to z widocznym żalem; zawzięci przeciwnicy podawali sobie ręce; nikt nie śmiał przemówić za Rossyą, zaledwie odzywały się głosy błagające, aby Mikołaja nie smagać zbyt zelżywémi wyrazami; zgoła, jednomyślność i powaga, jakby przy jakim obrzędzie religijnym, dawały izbie niezwykłą, uroczystą postać; a znamię to, było tak wydatne, różnica tak dla nas pochlebna, iż w pismie niniejszém, nie mogłem sobie wzbronić téj nowéj wycieczki za ścisłe granice mego przedmiotu.

Kiedym piérwszy raz otwierał Hansarda, pracowitego i wiernego kronikarza rozpraw parlamentowych, lubo uprzedzony że w ciągu naszego powstania, izbie wyłącznie zajętéj reformą, nie stało jednéj myśli, jednego dnia, jednego głośnego życzenia dla Polski, spieszyłem naprzód zaspokoić mą ciekawość, czy też żaden głos za nami się nie odezwał, czy z półtorasta członków, którzy poźniéj tak szczerze Fergussona popierali, choć jeden śmiał tak sądzić i swój sąd popierać, jak w kilka miesięcy potém, już po niewczasie przemawiał? I znalazłem z boleścią, z prawdziwém oburzeniem na obojętność, samolubstwo i ciemnotę ludzką, że kiedy najdroższa krew Polski okupowała Europę od najsroższego wroga jéj wolności, zaledwie trzykroć tylko rzucono imię Polski, i to nawiasem, prawie chyłkiem, między ścierające się szyki w walce o daleko pośledniejsze zwycięztwo. Hunt, podówczas bożyszcze wyrobników i ubogiéj klassy ludu, piérwszy na ten zaszczyt sobie zarobił. Ósmego sierpnia, tojest w chwili, kiedyśmy pod Bolimowem napróżno już szukali wodza, wniósł on do izby petycyą, uchwaloną na zebraniu w Westminster odbytém. Hume i O'Connell przemówili za nią, ale tak słabo, jak gdyby tylko dać zakład i obietnicę lepszych usług na przyszłość. Lecz prawdziwa zasługa należy się półkownikowi Evans, który 16 sierpnia zrobił wniosek o złożenie papierów i dowodów, jak dalece neutralność względem Polski zachowana została przez ościenne narody. Powiedział on wtedy to, co po dziesięciu latach wygnania znajdujemy w wymownych ustach Polaka: « Gdyby przywłaszczyciel na całéj Sławiańszczyźnie nie spotkał już żadnych przeciwników, gdyby w to potrafił, że Polska i Moskwa stałyby się nareszcie jednym krajem, i połączywszy swe siły, spojrzały razem za Odrę i za Karpaty, w cóżby się obróciły Prussy i Austrya, jakiżby popłoch padł na Niemcy, jaka trwoga na resztę Europy. » Najstraszniejszą więc pogróżką, jaką Polak po wyczerpaniu innych środków rzucił Europie, mowca angielski od piérwszego razu chciał swój kraj poruszyć. A kiedy 7go września wniósł nową petycyą, i żądał aby zaraz konsul do Warszawy został posłany, wyłożył nieodzowną utratę handlu,

* Patrz N. 31 str. 121.

przyzwał cholerę na pomoc, dla ściągnienia uwagi ku Polszcze; ale darmo, nic wtedyby Anglii oderwać nie zdołało od biesiady, którą, jak Ugolino odprawowała na czaszkach spróchniałéj swéj reprezentacyi. Przyszło to ocknienie zanim jeszcze naród « od strawy dzikiéj oderwał paszczękę, » — ale niepowrotne chwile skutecznéj pomocy naszemu powstaniu, już były minęły.

(d. c. p.) † †

KORRESPONDENCYA.

Niedawno daliśmy czytelnikom naszym list pisany przez emigranta polskiego z *Paramatty*, czyli z nowo południowéj Gallii, dziś wypada nam umieścić w kolumnach dziennika list adressowany do jednego z jego Redaktorów, nadesłany przez emigranta z *Coquimbo* miasta odległego o ośm miesięcy drogi od Paryża. Takto synowie biednéj Polski naszéj reprezentują jéj żałość i nadzieje na najodleglejszych krańcach świata.

Coquimbo, 18 maja 1841.

Ach mój ty kochany!... jak już dawno jesteśmy na włoczędze; a cóż tam w domach naszych dzieje się; już my postarzeli, ale i oni tam nie odmłodnieli od owego czasu, i czy poznają nas, i co będziem robić jak powrócim; a jeśli nie znajdziem nikogo z tych których kochaliśmy gorąco?... Czemu to ja od tak smutnych myśli poczynam gdy piszę do ciebie, jak gdybym chciał popłakać z tobą, zamknąwszy się i pocichu, żeby nas nikt nie posłyszał? Przyczyna, żeśmy tak z sobą nieraz gadali i biedzili się, i teraz mi jak przyjdzie chętka pomówić o domie, to się oglądam czy nie masz ciebie, jak ów *Panie kochanku* co był nawykł przepijać zawsze do Borowskiego.»

Ot lepiéj o czém weselszém — wiesz co, gdybyś ty był tu, tobyśmy jako żyli spokojnie i cicho, przysłuchując się szumowi morza i przypatrując się górom. Nie masz kraju tak czystego od wszelkiéj szkodliwéj istoty jak tutejszy. Żadnego węża, ni gadziny, ni insektu jadowitego, ni rośliny nawet bardzo szkodliwéj, ni żadnéj epidemicznéj choroby. Lew tutejszy jest lwiątko uciekające od ludzi, napadając tylko na źrebięta, owce i kozy. Nieraz spotkałem lisa który mi na drodze stanął i przypatrywał mi się jak gdybyśmy się gdzie znali. Guanako jest piękne i najłagodniejsze źwierzę, i choć wychowane w górach, prędko się przyswaja; szczególniéj oczy ma piękne, tak piękne jak ośrodek owych pięknych oczu, które pamiętam, zostały w kraju. Mam tu jedno młode guanako na wychowaniu: biega za mną jak piesek, choć już tak wielkie jak sarna; i nieraz jak co ważnego prażę w tyglu, cały zatopiony w chemicznem dumaniu, to mój guanako wyciąga swoją wielbłądzią szyję i zagląda do pieca i do tygla, jak gdyby znał się na czém; i gdy wieczorem pracuję sam jeden, piszę czy czytam, to on jak owieczka u nóg leży i wzdycha. Mam też pięknego konia w moim ogródku: tutejsze konie mniejsze są od angielskiéj, czy normandskiéj, czy meklemburskiéj rasy koni; ale są pięknych, delikatnych form: główka mała, oczy całe na wierzchu, szyja wyniosła, krzyż równy, nogi cienkie, żylaste, a kopyta tak twarde, że w ostatniéj podróży miałem jednego konia co więcéj czterechset mil tutejszych (200 mil naszych) uchodził po górach i skałach niekuty. Co zaś w nich szczególnego, to że noszą tak lekko, mają szczególnie stępo tak prędkie i łagodne, że możesz 2 mile tutejsze na godzinę ujechać, czytając xiążkę, i po całodziennéj podróży nie czujesz się zmęczonym. W ptakach szczególnie wiele rozmaitości. Nie masz wprawdzie naszych słonek i bekasów na tutejszéj opoce, ale mnóstwo turkawek i kuropatw, mało co różnych od europejskich. Na dolinach są dziwnéj piękności czaple białe, z kitami nadzwyczajnéj białości, a po nad jeziorami w górach owe sławne flamingi różowe, którym żeby się przypatrzyć musisz pójść na moją intencyą którego poniedziałku do muzeum botanicznego ogrodu. O kolibrach i kondorach zdaje mi się już pisałem. Chmury wodnego ptastwa ulatują nad morzem. Między niemi są jakieś ptaki *tijeras* (nożyce) z ogromnemi dziobami, a najśmieszniejsze są *pajaros ninos* (ptaki dzieci) bez skrzydel, szare, opasłe, na łokieć wysokie i prosto trzymające się na dwóch nogach jak dzieci, a chodzą kiwając się i żyją na skalistych wyspach nadbrzeżnych. Papugi trzymają tu miejsce naszych wron a raczéj srok: przynajmniéj tak są krzykliwe jak sroki, a gnieżdżą się po urwiskach niedostępnych, gdzie robią nory tak sztucznie, że do nich aniby się nasz student nie dodrapał.

Masz oto krótkie wyliczenie skrzydlatego i czworonożnego królestwa, na które, prawie nie masz myśliwych, ni ochotników. W istocie, na nieby się tu nie przydały nasze charty ni wyżły; a jednak tak niezliczone jest mnóstwo psów, że z każdéj najlichszéj chaty nieraz kilka lub kilkanaście wybiega i wrzeszczy, a nie kąsa. — Na lwy polują tylko ludzie z professyi zwani *leoneros*, którym się płaci za każdą głowę zabitego zwierzęcia. Sąto ludzie prości, dobrze znający kraj i śmiali. Każdy ma kilkoro psów i dobrego konia, a fuzyi w życiu swojém nie widział. Skoro wytropi lwa, puszcza się za nim zwolna, i psy biegą powoli, lew oziera się, wyszczerza zęby i idzie w góry, a za nim przez najstraszniejsze przeprawy jedzie *leonero* z psami, milę, dwie, trzy, dziesięć, aż pocznie zwierzę mordować się, doskakują psy i podczas kiedy jeden najstarszy stara się go drażnić i zabawiać, inne zachodzą ztyłu i wskakują na grzbiet i przytrzymują. Toczy się wtenczas bój najkrwawszy i nie dałyby rady psy gdyby nie *leonero*, który widząc już zranione, pokąsane zwierze, ciska nań z dziwną zręcznością arkan, uchwyca za szyję i ucieka na koniu ciągnąc rozjuszonego lwa, który najczęściéj, jak mi powiadano, sam się zadusza, wszczepiając swoje pazury w zakrwawioną skałę. Widzisz żeto nie nasze polowanie. — Podobnież tu polują na guanaki: z psami i arkanem; a jestto zabawa górników i prostego stanu ludzi. Panowie i *caballeros* nie lubią myślistwa i tylko czasem ze strzelbą wyjeżdżają na turkawki i kuropatwy. W niektórych stronach polują też na kondory sposobem dosyć ciekawym. Wybierają na to jaką szczelinę w skale, wązką jakoby na dwóch ludzi i zwężającą się coraz bardziéj. W głębi téj szczeliny kładną zdechłego wołu czy konia i odchodzą. Żarłoczne to ptastwo zlatuje z najwyższych Kordylierów. Węch kondora ma być tak delikatny że o kilka mil zwietrza padlinę. Poczyna się bój między samém ptastwem u wejścia do rozpadliny; potém najsilniejsze włażą i obżerają się tak niemiłosiernie, że w parę dni przychodzą ludzie i kijami je zabijają, a biedny kondor nie mając gdzie wyciągnąć swoich na kilka łokci szerokich skrzydeł, znajduje śmierć tamże gdzie ucztował. Dawniéj to polowanie było bardzo zyskowne, bo wydzierano serca orłom na jakieś sympatyczne lekarstwo.

Otoż i masz kilka słów o polowaniu, które ci nabazgrałem, nie wiedząc na początku listu o czém mam pisać. A teraz mój drogi... proszę ciebie pozdrów moich przyjaciół; podziękuj po tysiąc razy szanownemu... za jego pamięć o mnie, i za dzieło które mi przysyła i które pomieszczę w bibliotece tutejszego Kollegium, stosując się do woli autora. Podziękuj też i uściśnij... za jego dziennik, i jak najczulej pozdrów odemnie redaktorów.... Nie uwierzysz jak rad jestem gdy odbieram pakę waszych broszur i dzienników. Znają to tutejsi ludzie i z miny mojéj wyczytują że mam wiadomość z kraju, i mówią: *Don Ignacio contento.*

KRONIKA.

EMIGRACYA.

Dziennik *Demokrata* (Paryzki) wydrukował nadesłaną mu z Rzymu kopją jakiéjś noty czy konwencyi, któréj treść jest następująca:

Xiąże Czartoryski z jednéj strony jako rzeczywisty naczelnik na-

rodu polskiego i jedyny opiekun sprawy polskiéj za granicą, Xiąże Wasowicz z drugiéj strony jako naczelnik niepodległego pokolenia Sławian, położonego między krainą Czarnogórców i wielkorządztwem Serwii, obowiązują się nawzajem być w stałém przymierzu i działać spólnie. Cel działania jest: dla pomyślności ludów sławiańskich niepodległy byt Polski w jéj dawnych granicach; jakoteż *wszechwładztwo* Xięcia Czartoryskiego nad tym wielkim narodem. X. Czartoryski dla poparcia piérwszych usiłowań, przyobiecuje dołożyć wszelkich starań, aby dostarczyć X. Wasowiczowi 60,000 franków, 300 Polaków oficerów i żołnierzy, 15,000 karabinów. X. Wasowicz przyrzeka X. Czartoryskiemu, trzymać przy sobie jego agenta, upoważnić w swoim kraju organizacyą korpusu polskiego, dostawić w chwili ocknienia się Polski *kontyngens* swego własnego wojska.

Konwencya pisana po francuzku, zawiera 15 artykułów, bez daty, miejsca i podpisów. Korrespondent Demokraty powiada, że oryginał jéj widział na własne oczy, że, jakiś « szałaput » przywiozł listy X. Czartoryskiego, w których Wasowicz polecony był kardynałowi Lambruschiniemu jako pragnący z ludem swym wrócić od schyzmy na łono Kościoła powszechnego, i że tenże Wasowicz wybrawszy od X. Czartoryskiego kilka tysięcy, wymknął się przydanemu do jego boku, i zniknął gdzieś we Włoszech. Demokrata zaś od siebie dodaje: « ...zasiągnąwszy z różnych stron i od różnych osób wiadomości i objaśnień, ręczymy za autentyczność konwencyi i za prawdziwość faktów w korrespondencyi zawartych.... Stosunki Czartoryskiego z Wasowiczem, publiczne prawie werbunki i przygotowania do wyprawy, któréj różni różne naznaczali przeznaczenie, roznieciły dość głośne nieukontentowania między rozsądniejszymi ludźmi dawnéj Czartoryskiego partyi... Są między niémi tacy, i to dość liczni, którzy o tych stosunkach wiedzieli i głośno je naganiali. Tych mamy za świadków przed własném sumieniem, ale ich wymienić nie chcemy. Jak dalece Wasowicz zdołał Czartoryskiego omamić można sobie wyobrazić z tego, iż mimo przestróg przyjaciół swoich z Paryża, i lorda Dudléj Stuart z Londynu, podejrzewających Wasowicza, nie zaniedbał z nim negocyacyi. Wasowicz był naprzód w służbie wojskowéj, poźniéj użyty przez Anglików za konsula w mieście Nowy-Bazar, jako dopuszczający się nadużyć, i posądzony o sprzyjanie Rossyi, z konsulostwa oddalony został. Że podejrzenie Anglików nie było bezzasadne, wyrozumieć to można z dzieła *Europäische Pentarchie* wydanego przez jakiegoś Moskala, w którém wydalenie Wasowicza z konsulatu, wystawione jest jako jedna z krzywd wyrządzonych Rossyi przez Anglią... Nasza jednak bezstronść nakazuje nam wyznać, że podług podobieństwa do prawdy, konwencya pozostała tylko przygotowanym projektem, w ręku stron obydwóch, i że Czartoryski ostatecznie jéj nie podpisał.....»

Czynimy w naszéj kronice wzmiankę o tém, bo tu równie fałsz jak prawda jest wypadkiem, którego obojętnie pominąć nie można, i spodziewamy się, że koniecznie publiczność będzie objaśniona przez osoby interesowane, a zatém, przyjdzie nam albo text konwencyi jako dokument historyczny całkiem wydrukować, albo powtórzyć w kolumnach naszych odparcie czy sprostowanie ogłoszonych faktów.

Rzecz stała się jawną: trudno powątpiwać żeby była zupełnie nieprawdziwą, ale mamy nadzieję, że szczerze wytłómaczona, nie zdawałaby się tak dziwną. Zataić jéj już nie można, wyjaśnić należy. Niepodobna żeby X. Czartoryski był autorem, lub w opinii publicznéj chciał zostać odpowiedzialnym wydawcą pomysłów, które ledwo ujść mogą w takim romansie jak Kirdżali, gdzie w razie potrzeby dla dobrego skutku wypraw, znajdują się lochy podziemne na kilkadziesiąt mil drogi.

Wiemy, że przeciw Demokracie, który ogłosił przejęty akt dyplomatyczny, podnoszą się okrzyki o zdradę sprawy narodowéj. Powtarzając wieść puszczoną w obieg, możemy być poczytani za spólników winy; więc z tego powodu parę następnych uwag.

Było tak dawniéj w Polszcze, i tém bardziéj dzisiaj w Emigracyi naszéj być musi, iż każdemu wolno czynić i przedsiębrać co uważa za korzystne, zbawienne dla ojczyzny; każdemu przeto z kim *chcą negocyować*, negocyować wolno: Ale z téj zasady wynika druga wolność: każdy, kto czyny, przedsięwzięcia, negocyacye, uzna za błędne, szkodliwe, jeśli ma jaki sposób, może im przeszkadzać. Kiedy niemasz władzy coby dała opiekę lub położyła tamę prywatnym zabiegom, rozsądek i sumienie publiczne staje się jedynym sędzią. Skoro działanie jest czyste i mądre, wyrok pewnie potępi przeciwnika.

Gdyby tedy Xiąże Czartoryski, jako troskliwy syn ojczyzny, jako dobry obywatel Polski, i jako ten pomiędzy tułaczami, z kim xiążęta i ministrowie *najprędzéj traktować gotowi*, w prywatnym swoim charakterze i jedynie w interesie sprawy narodowéj, robił plany i umowy, zachodziłoby tylko pytanie, czy te plany i umowy, są dobrze albo źle pomyślane, trafnie albo mylnie prowadzone. Ale Xiąże ma w konwencyi, o któréj mowa, charakter *rzeczywistego naczelnika narodu polskiego i jedynego opiekuna sprawy polskiéj*, z celem *pomyślności ludów sławiańskich i niepodległego bytu Polski*, łączy koniecznie cel dla siebie *wszechwładztwa nad tym wielkim narodem*, a ktokolwiek bądź redagował artykuły konwencyi, sankcya tych wyrażeń znajduje się we własnych słowach Xięcia, powiedzianych 29 listopada r. b. To zmienia stan kwestyi: już tu rzecz idzie nietylko o trafność i bezinteresowność, ale o *prawność* działań. Nie robimy subtelnéj i czczéj dystynkcyi. Trzeba nie znać narodowéj natury Polski, trzeba nierozumieć odwiecznego jéj ducha, żeby myślić, iż tym sposobem można podbić umysły, zniewolić serca, skupić siły i podźwignąć ojczyznę Polaków. Na rozumowania systemu *de facto*, odpowiedzieliśmy z powodu mowy Xięcia i w kilku innych miejscach naszego pisma; teraz zostawimy argumenta obok ich praktycznych następstw, próbie widocznego doświadczenia.

Ponieważ materya niniejsza dotyka przedmiotu prawności i władzy, jeszcze słowo, chociaż do kogo innego.

W roku 1833, robiła się i zrobiła wyprawa do kraju. Jechali i szli dyktatorowie, wojewodowie, różnego stopnia wcześnie mianowani urzędnicy, razem z prostymi patryotami niosąc krew i życie, a zatém szczerze chcąc usłużyć ojczyznie. Znowu słyszymy o wyprawach, nawet samowładzcach narodu, hetmanach, agentach i t. d. znowu krew polska, Bóg wie na jaką miarę, wzięta za przedmiot planów i rachub. Wtenczas i teraz były dwie strony oskarżające się nawzajem, to o nieczystość i niedorzeczność, to o zdradę i psucie zbawczych zamiarów. Czy tedy zawsze tak będzie, tak być powinno, i inaczéj być nie może? Czy nikt nie ma *prawnéj władzy*, zamiary te pierwéj rozważyć, a potém uświęcić lub potępić?

Jeśli jeszcze pytając o to będziemy wkoło oglądali się nadaremno, zaiste sejm nasz składa się z ludzi bez należytego uczucia obowiązku, z dobrowolnych niejako niszczycieli swego mandatu. Przecież, Panowie Senatorowie, Posłowie i Deputowani nasi, każdy z was przynajmniéj jako Polak ma prawo wdać się w rzecz publiczną, i rzecz nie małéj wagi, bo tu już idzie o teorye, zasady i projekta, nie kończące się rozlewem tylko atramentu. A kiedy grono z pośród was, złączone nieuprzedzoném pojęciem i żywą miłością sprawy narodowéj, stałoby się pożądanym punktem oparcia się dla opinii w emigracyi i w kraju, pamiętajcie, że zrobilibyście wielki krok do zebrania kompletu, który od chwili jakby zdołał wystąpić w charakterze zgodnych 33 patryotów, odzyskałby urok i moc swego charakteru prawnéj władzy.

WIADOMOŚCI I DONIESIENIA.

— Rada Administracyjna Królestwa Polskiego, wydała nowe obszerne postanowienie względem opłat pocztowych od listów, posyłek i t. d. Opłaty są uregulowane podług 3 stopni odległości wyrachowanych na wiorsty. List wagi jednego łuta na wiorst 100,

płaci się 10 kopiejek sr.; na wiorst 200, kopiejek 15 sr.; na odległość większą, kop. 20. Oddawca nie jest już obowiązany koniecznie frankować połowę porto, ale może albo całkiem opłacić, albo na koszt odbierającego przesłać. Podobnyż przepis służy co do listów posyłanych za granicę do krajów, z którémi władze pocztowe utrzymują wzajemne rachunki; względem zaś korrespondencyi i przesyłek do innych krajów, jest to prawidłem, że oddawca lub odbierający ma płacić tylko za odległość drogi do i od granicy królestwa.

— W ciągu roku 1841 z grona urzędników w królestwie polskiém zmarli: Michałowski p. o. lot. Łazienek i Belwederu; Zakrzewski b. naczel. K. R. S. W.; Radzimiński kom. obw. Sochaczew. Borakowski rad. kom. centr. likwid.; Kurella insp. jen. poczt; Cielecki naczel. bióra w kom. rząd. skar.; Jan Kanty Łuba; Michał Kisielnicki, Ignacy Neuburg, zasłużeni emeryci: Prokopowicz insp. szkół ob.; Markiewicz professor, b. senator krakow. i Piotr Aigner budowniczy przy radzie stanu. Z grona posiadaczy ziemskich: Potocki Tytus, Rzewuski Felix; z obywateli stolicy: Kossowski Sebast. b. deput.; Ewans Andrz. i Lessel Karol; Doktorowie: Drzewicki i Fiszer, radzcy dworu: Volerth, Saulsohn, Telakowski i Kerner; dentysta warszawski Aszer; rzeźbiarz Sturmer; artysta dram. Werowski. Z dam znakomitych zeszły: wdowa po b. rz. t. r. Engel; gubernatorowa Łaszczyńska; Sokołowska starościna kowal. Kilkanaście osób doczekało się i przeżyło *stulecie*. Najstarszy z tych był Jan Podgórski, który zmarł mając lat 108.

Jedno z pism krajowych następującą wiadomość daje o stanie handlowym Polski:

— Rok 1841 pod względem urodzajów niepomyślnym nazwaćby można, zbiory zawiodły oczekiwania rolnika: co jednak mniéj zyskał pod względem obfitości, zarobić mógł na wygórowanych cenach *zboża* za granicą. I w rzeczy saméj produkta nasze były w tym roku przedmiotem niepospolitego żądania. Jarmark na *wełnę*, powiodł się nie źle: są lepsze widoki na poprawienie się handlu tym produktem w Anglii, a *cynk*, w którego kopalnie kraj nasz obfituje, w przeciągu lat kilku podniosł się w cenie przeszło we dwójnasób. Pod względem meteorologicznym śmiało twierdzić można, że rok ubiegły, *pogodném* czołem na kraj tutejszy spoglądał, a jednak różnice te nienaturalne stanu atmosfery, nie wywierały zbyt szkodliwego wpływu na zdrowie mieszkańców, i owszem, zdaje się, że mniéj było chorób zaraźliwych, tak po między ludźmi jako i dobytkiem, chociaż początek wiosny i koniec jesieni, zabójczémi były dla wielu osób, chronicznemi słabościami dotkniętych.

— Infułat Łancucki, jeden z lepszych naszych mowców kościelnych i znany w literaturze polskiéj, umarł ostatnich dni r. p. w Krakowie, gdzie był kilkadziesiąt lat proboszczem przy kościele Panny Maryi.

— Donoszą nam o uwięzieniu i uwolnieniu w X. Poznańskim P. Henryka Nakwaskiego, tudzież o reakcyi w duchu rossyjskim rządu pruskiego, od chwili ostatniego widzenia się Króla pruskiego z Cesarzem rossyjskim.

— Następujące ciekawe szczegóły winniśmy przybyłemu zwojska rossyjskiego emigrantowi.

Roman B... podofficer z półku 8go piechoty polskiéj, wzięty został w niewolą pod Wolą, odesłany z wielu innymi jeńcami wgłąb Rossyi dostał się do Tobolska, poźniéj do Moskwy, i wcielony został do półku rossyjskiego *Uczebnego*, gdzie znajdowało się bardzo wielu Polaków pierwéj wziętych w niewolą, i srogie z niemi postępowanie przymusiło niektórych do szukania ratunku w ucieczce; stanął na ich czele Roman B..., lecz nieświadomi kraju, wystawieni na okropne zimno, ścigani przez władze miejscowe, powrócili do półku. Odtąd, na ich wielkie podziwienie łagodnie zaczęto z nimi postępować, i *feldfeblowie* rossyjscy zaskarżeni przez Polaków po 100 batów dostali. Po pewnym przeciągu czasu Roman B.... na własną prośbę wcielony został do półku *Ekaterynosławskiego*, gdzie się znajdowało 250 Polaków i przymaszerował z nim z głębi Rossyi do Warszawy: tam półk ten powiększył się 600 nowymi rekrutami polskimi, z którymi udał się na Kaukaz. Roman B.. w tym marszu, znajdując się w Suwałkach szczęśliwie zemknął, i przebywszy czas jakiś w Prusiech i X. Poznańskiém, po wielu prześladowaniach i nadzwyczajnych przygodach oparł się aż w Bruxelli, zkąd przybył do Francyi, a dziś zamierza sobie udać się do Algieru i utrzymywać się z malarstwa, do którego się zawsze przykładał. Podług Romana B... panuje w żołnierzu rossyiskim wielkie nieukontentowanie z powodu rosnących nadużyć władzy wojskowéj. Często słyszał te słowa z ust żołnierzy: « raz oszukał nasz cesarz w Turcyi, drugi raz w Polszcze, trzeci raz nie damy się oszukać; niech nas tylko wyprowadzi na wojnę, a nie wielu nas w półkach zostanie. » Wiadomość o zniszczonym korpusie rossyjskim w Czerkassyi miała znacznie osłabić ducha w nowo formującym się oddziale przeznaczonym na Kaukaz. Oficerowie zaczęli wymawiać się słabością zdrowia, niektórzy podali się do dymissyi. Żołnierzom kazano szyć czapki z włosów wielbłądzich zasłaniających oczy, dla zabezpieczenia ich od oftalmii panującéj w wojsku rossyjskiém na linii kaukazkiéj: bardzo wielu oślepło — ta obawa znacznie osłabia energią żołnierza. Pomiędzy Polakami wcielonymi do wojska rossyjskiego, Roman B.. uważał wielką różnicę: ci którzy są z domów szlacheckich, odznaczają się gorącym patryotyzmem tłumionym w piersiach, ci zaś którzy pochodzą z włościan, stali się ślepém i ciemném narzędziem despotyzmu moskiewskiego; pod względem ukształcenia moralnego niżéj mają stać od Moskali. Garnizony mają być ciągle w ruchu, pobyt ich po miastach jest zbyt krótki, aby przeszkodzić zawiązaniu się wszelkiemu bliższych stosunków między wojskiem i mieszkańcami. Wiele szczegółów przemilczeć musimy dla niekompromitowania przyjaznych nam Moskali.

Znajdujemy w *Tygodniku Petersburskim* z 18 i 21 stycznia wiadomości następne:

— Rada Administracyjna królestwa polskiego postanowieniem swojem z dnia 17 grudnia 1841 r., wykréśliła byłego wojskowego *Karola Kownackiego* z listy osób z amnestyi niekorzystających, konfiskata jego majątku z wszelkiemi skutkami cofniętą została.

— Kommissya Rządowa Przychodów i Skarbu podała do wiadomości, iż wyrokiem sądu wojennego przez X. Paszkiewicza zatwierdzonym 5 czerwca 1841, skazani zostali na konfiskatę majątku za *przestępstwa polityczne: Rafał Błoński*, lat 24 liczący; *Alexander Dzwonkowski*, lat 22 liczący, były pisarz przy gimnazyum w Łomży; Jan Mecarski lat 21 liczący, były uczeń gimnazyum Łomżyńskiego.

— Ukaz cesarski z dnia 25 grudnia, odbiera duchowieństwu rossyjskiemu jako też i innych wszelkich wyznań w zachodnich guberniach, dobra nieruchome osiadłe, i oddaje je pod zarząd ministeryum dóbr państwa, z wyłączeniem majątków znajdujących się właściwie we władaniu parafialnego świeckiego duchowieństwa. Ukaz 1 stycznia 1842 r. wskazuje etaty *prawowiernych* i *rzymsko-katolickich* dyecezalnych rządów i klasztorów.

— Hr. Przezdziecki radca tajny, zatwierdzony został przez Cesarza Marszałkiem gubernialnym Podolskim.

— Liczba dzienników krajowych ciągle wzrasta; do tych o których donieśliśmy, mamy dodać: *Kmiotek*, pismo tygodniowe, przeznaczone wiejskiemu ludowi, które zaczęło wychodzić w Warszawie od 8 stycznia.

W DRUKARNI BOURGOGNE ET MARTINET, PRZY ULICY JACOB, 30.